

Ostatnia próba ratunku Rzeczypospolitej XVIII w.

Rok 1794 należy do najbardziej bohaterskich i tragicznych zarazem momentów naszych dziejów. Wiosną pod wodzą Naczelnika Kościuszki podjęta została ostateczna próba ratunku ginącej Rzeczypospolitej.

Kłeska kampanii 1792 roku w obronie Konstytucji 3 Maja była dla polskiego obozu reform jeszcze jednym dowodem, że dotychczasowe wojsko szlacheckie nie może obronić kraju. Do walki z potężnymi siłami zaborców mogła stanąć tylko armia wzorowana na rewolucyjnej Francji, oparta na podstawowej sile narodu — na żywole chłopskim i mieszczańskim. Kościusko marzył o 300 tysięcznej armii, w której jeden szereg będzie szlachecki, a drugi mieszczański-chłopski.

Na zew Naczelnika

4 kwietnia pod Racławicami po raz pierwszy w historii Polski do walki o niepodległość wystąpił oddział chłopskich kosynierów, przybyłych na zew Naczelnika. Ich zwycięski atak na działa carskie wstrząsnął całą Polską i obudził w duszach patriotów nowe nadzieje.

Powstanie w Krakowie i racławicka wiktoria wywarły szczególnie wielkie wrażenie na ludności stolicy, której opinie kształtowały wieści napływające z rewolucyjnej Francji. Wiara w zwycięstwo czy pesymizm zależały od tego, jak rozwijały się wypadki nad Sekwaną. Po zgięciu Ludwika XVI lud śpiewa i pisze na murach pałacy, grożące królom, Igelströmowi i członkom znienawidzonej Rady Nieustającej śmiercią na gilotynie.

17 kwietnia wybuchło w Warszawie powstanie. Po 2-dniowej walce wojska carskie wyparte zostały ze stolicy. Na czele warszawskiego ludu widzieli przede wszystkim hugonistów (tak nazywano ludzi związanych z „Kuznicą” kółłatajowską). Jest wśród nich ulubieniec Warszawy — młody ksiądz Konopka, człowiek dziennikarza z tego okresu — ksiądz Józef Meyer, „wulkan gromów” Kuznicy — ksiądz Franciszek Jezierski; działają też Bogumił Linde, Onufry Kopczyński, Tomasz Maruszewski i ruchliwy prowodyr cechów warszawskich — szewc Jan Kiliński.

Patrioci warszawscy czuli jednak, że odniesione zwycięstwo nie jest pełne. Nikt z przywódców ludowych i organizatorów powstania, z wyjątkiem Kilińskiego, nie wszedł do nowych władz miejskich. Werbunkiem do milicji objęto jedynie majątnych

obywateli, a „pospólstwu” kazano zdawać broń zdobytą w czasie walki.

Maksyma Francuzów

8 maja w rozgorączkowanej Warszawie rozchodzi się pogłoska o ucieczce króla. Przed zamkiem zbierają się ogromne tłumy. Rozlegają się okrzyki: „Niech żyje król, ale niech nie ucieka”. Masy ruszają do ratusza i żądają natychmiastowego sądu nad uwiecznionymi targowicznymi. Pod naciskiem ludu sąd zmuszony jest skazać na karę śmierci 4 dumnych magnatów zdradców: hetmana Ożarówskiego, Zabiellę, marszałka Ankwicza i biskupa Kosakowskiego. Zdracy zawisają na szubienicach.

Na zachowanie się ludu w tym dniu w dużym stopniu wpłynęła rewolucyjna prasa, a zwłaszcza „Gazeta Obywatelska i Patriotyczna”. Jej redaktor ksiądz Józef Meyer uzasadniał te i dalsze wypadki „maksymą Francuzów” mówiącą,

Z KARTY TYSIĄCLECIA

że „inaczej się nie może ustalić prawdziwa wolność i pomyślność Rzplitej, aż zdradców z zewnątrz i wewnątrz krnążących spiski i intrygi lub związki i umowy z nieprzyjacielem mających, wytną i wypełnią (...).

W nierównej walce z wojskami dwóch zaborców — Rosji i Prus, powstanie ponosi porażkę za porażką. Następuje klęska pod Szczekocinami i pod Chelmem. Gaśnie rozpalony Uniwersał Pańskim zapal mas chłopskich do walki z najeźdźcą. Walczących u boku Kościuszki chłopów szlachta uważa w dalszym ciągu za swoich poddanych, a ich udział w boju traktuje jako swoisty rodzaj pańszczyzny. Na próżno Kościusko wysłał uniwersał za uniwersałem. Klasowy instynkt szlachty nie pozwala jej czynić sobie uszczerbku z darmowej, pańszczyźnianej pracy.

Warszawa - 28 czerwca

Na wiadomość o wejściu Prusaków do Krakowa wskutek jawnej zdrady komendanta miasta Wieniawskiego, lud Warszawy zakpiął gniewem. 28 czerwca nastąpiły nowe wieszania zdradców lub podejrzanych o zdradę. Wielkie tłumy, rozgrywane mowami księdza Konopki, opanały miasto. Konopka wskazywał oberwanym żołnierzom w okopach, że bogacze i magnaci niczego sobie nie żałują i ukrywają



Nr 244 3 VII 1966 Rok VI

się w swoich pałacach. Rozeszły się nowe pogłoski o ucieczce króla. Lud spontanicznie wznosił nowe szubienice, przede wszystkim przed pałacem królewskiego brata — znienawidzonego prymasa Michała Ponia-towskiego. Wzburzone masy same dokonują sądu szpiegów i targowicz-an.

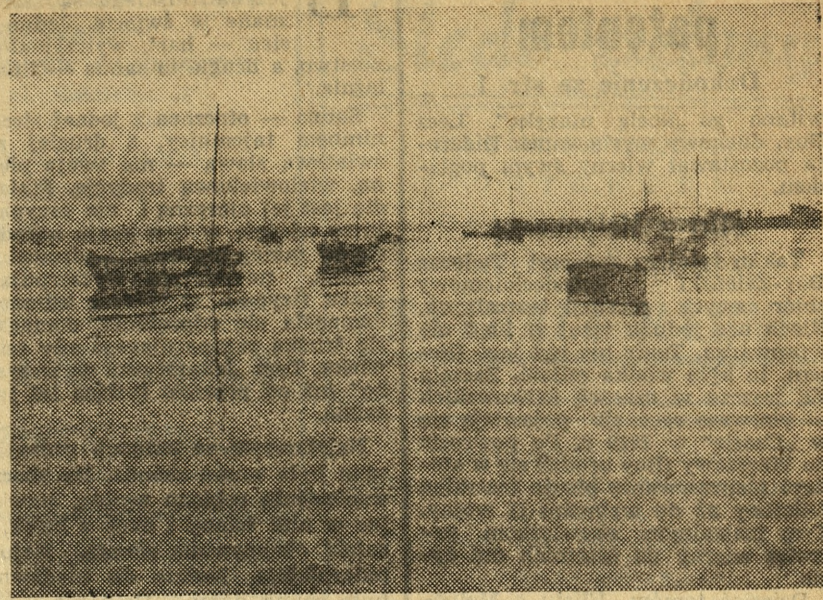
Kościusko w tej decydującej chwili nie zdobył się na postawę rewolucyjną. Potępił powstanie jako naruszenie subordynacji i zarządził sąd nad jego sprawcami. Wywodzących się z ludu przywódców wypadków czerwcowych skazano na karę śmierci. Ksiądz Konopka skazany został na banicję, a ksiądz Meyer na pół roku aresztu. Kary tej jednak nie odbył, bowiem sąd w obawie przed powtórzeniem się rozruchów uwolnił go „jako dobrego patriotę”.

Mógł więc Meyer poświęcić się nadal publicystyce służącej sprawie powstania. W piśmie swym często za brak ofiarności dla celów insurrekcyjnych stawiał pod przegię opinii publicznej stan duchowny, zwłaszcza kler wyższy. „Zamiast akcesu robić i przysięgę wykonywać skwapliwie i ochotczo na Targowicę, zamiast piórem wojować za prerogatywami dóbr, funduszków, intrat i majątków (...) godziłoby się przynajmniej w tak gwałtownej potrzebie ratowania ojczyzny, żeby ten, który ma dwa, trzy lub więcej funduszków w jednej osobie, zostawił sobie przy intracie jednego, resztę na wojsko ofiarował, a to za przykładem Chrystusa Pana, który jak też podobnie i apostołowie święci, niewiele potrzebowali a świętymi byli, a nie byli posądzonymi o zdradę ojczyzny”.

Epilog

10 lipca zaczyna się oblężenie Warszawy przez wojska pruskie. Jakobini polscy nawołują, aby i w Polsce wydobyc z ludu te niespożyte siły, które rewolucji francuskiej już od dwóch lat dawały zwycięstwa nad wszystkimi wrogami. Ale te pojedyncze głosy nie mogły już zmienić biegu wypadków. Tak jak nie było w stanie zmienić układu sił powstanie w Wielkopolsce, które zmusza wojska pruskie do zaniechania oblężenia stolicy.

Po klęsce maciejewickiej i ponownej bohaterskiej obronie, 4 listopada Warszawa padła.



Irena Solińska

Pisarz z lekarskim patentem

Jesienią 1939 r. zdołał uciec przed Niemcami do Lwowa. Tam, jako kierownik katedry na Uniwersytecie podjął wykłady z literatury francuskiej. Jeszcze w „Czerwonym Sztandarze” i w „Nowych Widnokręgach” zamieszczał znamiennie jak zawsze recenzje teatralne. Mimo niemłodego już wieku był pełen sił twórczych. Wkrótce jednak po wkroczeniu hitlerowców do Lwowa został aresztowany i wraz z grupą wybitnych naukowców polskich rozstrzelany nocą z 3 na 4 lipca 1941 r.

W czarnej pelerynie

Bujne lata Tadeusza Żeleńskiego szczęśliwie zbiegły się z rozkwitem krakowskiej cyganerii artystycznej. Młody pan doktor nie tylko kibicował bardzo interesującemu i płodnemu środowisku Młodej Polski, lecz stał się jego integralną częścią. Nocne rodaków rozmowy o SZTUCE, JAŹNI i NIEBYCIE, zaprawione absyntem na pewno były dlań bardziej urokliwe, niż stateczne obowiązki w klinice. Zainteresowanie sztuką wysłał z mlekiem matki: Pani Żeleńska była przecież przyjaciółką Narcyzy Żmichowskiej, a ojciec, Władysław, słynnym już wówczas kompozytorem oper i profesorem konserwatorium.

Syn, odkąd w 1900 r. uzyskał dyplom doktora medycyny był niezłym pediatrą.

Często jednak zdradza biały ki-

tel dla czarnej peleryny, symbolicznego stroju artystycznej braci. Nieklamany talent satyryczny, umiejętność podpatrywania świata połączona z wielką kulturą osobistą dają o sobie znać w formie ciętych aktualnych wierszy, parodii, złośliwych pamfletów. Używał sobie Boy na krakowskiej kółtunerii ile wlezie. Jego utwory z okresu słynnego kabaretu „Zielony Balonik” weszły via „Słowa” do historii literatury polskiej.

Wielki przyjaciel Francuzów

Boy-Żeleński był najwierniejszym wielbicielem literatury francuskiej. Można powiedzieć bez patosu, że niemal poświęcił jej życie. Jeszcze w okresie lekarskiej praktyki rozpoczął żmudną i na skalę bez precedensu pracę przekładową. Na pierwszy ogień poszła „Fizjologia małżeństwa” Balzaka (1909 r.). Przyswoił nam Moliere i Musseta. Słynnych racjonalistów Diderota, Voltaire'a, Beaumarchais. Z pisarzy współczesnych — prawie całego Prousta. Tzw. „Biblioteka Boy'a” liczy sto kilkanaście tomów! Niezależnie od przekładów dał nam Żeleński wiele cennych szkiców historyczno-literackich i monografii, m. in. Moliere, Balzac, Proust i jego świat.

Wysoką rangę przekładów dokonanych przez pisarza z lekarskim patentem podkreślają zgodne krytycy. Andrzej Stawar pisał m. in.: „Boy potraktował swoje dzieło przekładowo przede wszystkim jako szkołę racjonalizmu i konstruktywności myślowej i artystycznej, a więc pierwiastków, których czytelnik w literaturze własnej w takim natężeniu nie mógł znaleźć”. Przytoczona również w wydanej ostatnio przez PWN książce „Polska krytyka literacka 1919—1939” ocena prof. Wacława Borowego zawiera następujący passus: „Albo nie ma czego z nim porównywać, albo jeżeli jest coś, Boy jest oden wyższy nieporównalnie”.

Odburawiacz przeszłości i teraźniejszości

Starsi czytelnicy zapewne pamiętają z lat trzydziestych ile to razy na Boy'a wylewano kubły pomoy w środowisku strasznych mieszczan.

Dostawało mu się nieraz i z ambony. Czy ten wspaniały humanista o szerokich horyzontach istotnie chciał kogokolwiek „gorszyć”? Skądże! Był po prostu przeciwny „bogo-ojczyźnianej” interpretacji faktów biograficznych, czy historycznych, nie znosił klimatu ciepłego bagienka. A do przekory czy może przerysowania miał prawo jako pisarz, któremu bliski był Voltaire z Diderotem. Do dziś z nieklamana satysfakcją czytamy „Brazowników”; książka ta w niczym nie umniejszała pozycji Mickiewicza na polskim Olimpie, sięgamy po „Obrachunki Fredrowskiej” wiedząc, że Boy jako recenzent miał do tego komediopisarza, ekskuzara szczególną słabość.

Nie znosił Boy natomiast świętoszkostwa i podwójnej moralności. Współczuł serdecznie ciężkiej doli kobiet, zwłaszcza samotnych matek, bądź wielodzietnych pozbawionych możliwości wychowania potomstwa. Był lekarz-pediatrą, zarzucał praktykę stał się gorącym rzecznikiem praw dziecka i mówiący dzisiejszym językiem — propagatorem planowania rodziny. Oczywiście jego wystąpienia nanotykały na opór środowisk klerykalnych. Nieraz gdy występował z odczytem — dziś by się to nazywało wieczorem autorskim — próbowano go zastraszyć,

Dokończenie na str. 2

Zofia Artymowska

190 - lecie Deklaracji Niepodległości

Deklaracja Niepodległości nie zawiera słowa „republika”, a konstytucja amerykańska nie mówi ani słowem o „demokracji”, a nawet nie wspomina o „narodzie”. Tymczasem przyzwycailiśmy się myśleć o Stanach Zjednoczonych jako o największej republice, największej demokracji, największym narodzie świata — pisze amerykański autor, John Gunther w znanej na całym świecie książce „Ameryka od wewnątrz”.

Od Deklaracji Niepodległości, która przypieczętowała zwycięstwo w walce wyzwoleniczej Ameryki Północnej spod panowania kolonialnego Wielkiej Brytanii mija właśnie 190 lat, czyli prawie dwa wieki. Od czasu, kiedy Gunther napisał te słowa — mijają dwa dziesięciolecia. Ameryka, która dwa wieki temu odległa była od Europy jak dziś kosmos od ziemi. Ameryka, która w wieku XIX i w początkach XX wieku była ziemią obiecaną, była Klondike dla milionów europejskich poszukiwaczy chleba, Ameryka z księżycowych odległości, z krainy mitów i legend o pucybutach, który został milionerem, znalazła się nagle, w drugiej połowie XX wieku, w samym centrum spraw świata, od którego kiedyś trzymała się na uboczu. Wujek z Ameryki zastąpiony został „Wujem Samem”, przedstawianym zwykle w cylindrze i fraku na antyamerykańskich i na amerykańskich karykaturach. Wuj Sam stał się symbolem twardej reguły bytności: „Ja płacę — ja wymagam”.

W czasach zimnej wojny widzieliśmy, jak demokracja amerykańska wynaturzała się wewnątrz, dając pożywkę zjawiskom takim jak maccarthyzm i „procesy czarownic”, a na zewnątrz — produkując politykę interwencji wszędzie tam, gdzie narody, geopolitycznie skazane na „amerykańską strefę zainteresowań” czy „wpływów” — próbowali na własną rękę sięgnąć po zdobycze postępu. Jednocześnie de iure re-

publika — przekształcała się de facto w imperium. Bo sfera amerykańskich interesów rozciągała się coraz dalej: od Porto Rico — poprzez Gwatemalę i inne kraje środkowej Ameryki, poprzez Amerykę Południową — poprzez Pacyfik — na Daleki, Środkowy i Bliski Wschód, od Atlantyku, aż po Łabę, od norweskich fiordów — po wybrzeża Morza Śródziemnego.

Kiedyś, w przyszłości, być może historycy znajdą właściwe nazwy i właściwe sformułowania dla klasyfikowania tego procesu, który zachodził zarówno w płaszczyźnie politycznej, ekonomicznej, jak i militarnej. Procesu, który nie był zawieszony w próżni: kierowała nim bowiem obawa przed rozwojem tego innego świata, świata socjalistycznego, który wyłonił się z zawieruchy wojny i z niezwykłą szybkością, mimo takich czy innych przeszkód, stał się drugim, dominującym czynnikiem na arenie światowej.

Oczywiście — kiedy spojrzymy wstecz — wiemy, że mogło się wszystko ułożyć inaczej. Że przy mierze broni, którym związała wojna antyfaszystowska dwa największe mocarstwa na świecie, miało szanse przerodzić się w trwałą współpracę na rzecz pokoju, niezależnie od różnic ideologicznych i ustrojowych. Ale tak się nie stało. Mimo wysiłków, które doprowadziły parokrotnie do ożywienia nadziei, mimo osiągnięć, do jakich niewątpliwie należy zaliczyć częściowy zakaz doświadczeń z bronią jądrową, mimo tendencji ośrodkowych — których przykładem jest polityka Francji, czy też coraz silniejsze także w innych krajach zachodnich tendencje do zbliżenia ze Wschodem — wojna w Wietnamie sprowadziła znów

naszą planetę na „krawędź przepaści”, który to symbol wiązał się z najbardziej „zimnowojenną” epoką amerykańskiej polityki zagranicznej, w czasach Johna Fostera Dullesa.

Cytowany na wstępie John Gunther, krytyczny obserwator amerykańskiego życia, przytoczył w swojej książce całą listę kontrastów, wśród których jeden najbardziej chyba uderza swoją wymową. Stwierdza on, że chociaż USA posiadają najbardziej, jak sądzi się powszechnie, rozwinięty aparat informowania opinii publicznej — to 19 proc. żołnierzy amerykańskich, stacjonujących w Niemczech po wojnie, uważało, że Niemcy miały słuszne powody do rozpoczęcia wojny, 22 proc. sądziło, że hitlerowcy słusznie prześladowali Żydów a 51 proc. — że Hitler zrobił dla Niemiec w latach 1933—1939 „mnóstwo dobrego”.

Kiedy obserwowało się reakcje opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych na wiele posunięć, niepopularnych w Europie czy w innych częściach świata — można było dojść do wniosku, że istnieje głęboka przepaść między stopniem zaangażowania się w problemy międzynarodowe amerykańskiego rządu i amerykańskiego społeczeństwa. Można było sądzić, i chyba z dużą dozą racji, że dewiza przeciętnego Amerykanina mogłaby być, przetłumaczona na angielski, słowa: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna”. Można było też, nie bez racji, podejrzewać, że aparat propagandy amerykańskiej trudni się usypianiem raczej, niż budzeniem, amerykańskiej opinii. Potwierdzały ten stan liczne i

wciąż modne ankiety, rzetelnie wykazujące, że polityka Waszyngtonu, czy to w stosunku do Francji, czy do Wietnamu, cieszy się przytłaczającym poparciem społeczeństwa.

Dzisiaj — sytuacja uległa zmianie. Kiedy wojna wietnamska z kategorii „prestżu USA” jako „antykomunistycznego przedmurza” — zeszła na poziom przeciętnego człowieka, kiedy stała się udziałem jego samego, lub jego syna, kiedy zapukała do drzwi z telegramem w żalobnej obwódcie — coś się przełamało. A chociaż wiele czasu może upłynąć od tego momentu do chwili, kiedy społeczeństwo amerykańskie zechce, aby polityka oficjalna sprostała tym zwykłym ideałom narodu, który chce być wielkim, demokratycznym i sprawiedliwym — i to jest dobre: świadczy bowiem o przebudzeniu z letargu i obojętności.

✱

Wiele opinii na temat aktualnych posunięć prezydenta Johnsona można przeczytać w amerykańskiej prasie. Wiele wypowiedzi polityków amerykańskich, których przy najgorszej woli nie można posądzić o komunizm. Świadczą one, że wielkie tradycje Amerykanów nie zostały całkowicie przysypane warstwą lodówek i telewizorów, i że zaczyna się liczyć coś, o czym mówił ostatnio senator demokratyczny Robert Kennedy, który — gdy zapytano go w telewizji, czy czuje się w obowiązku popierania polityki prezydenta aż do końca, odpowiedział:

— Gdybym sądził, że polityka ta może wyrządzić na dalszą metę ciężką krzywdę Ameryce — a tak właśnie sądzę — uważałbym milczenie za ciężki błąd.

Pisarz z lekarskim patentem

Dokończenie ze str. 1

witano go „kocia muzyką”. Leczek Boy, duchowy wychowanek Diderota pozostawał wierny swym poglądom.

Flirt z Melpomeną

Takim tytułem obdarzył Tadeusz Boy-Zeleński dziesięciotomowy zbiór swych recenzji teatralnych. Niech nas jednak tytuł nie błądnie wprowadza. Teatr nie był jego flirtem, to była wielka miłość. Zaczęła się jeszcze w czasach krakowskich — pierwsze recenzje pojawiały się w „Czasie” w 1919 r. Po powrocie do Warszawy (Boy urodził się w stolicy) nieprzerwanie pisał teatralne felietony aż do wybuchu II wojny. Tym teatralnym obowiązkiem pozostał wierny do ostatnich dni życia.

Dziesięć tomów „Flirtu z Melpomeną” plus dalszych bodaj dziewięć, również zawierających reminiscencje z oglądanych spektakli, to przebogaty materiał z dziedziny polskiej sztuki. Ten i ów ze współczesnych mu luminarzy zarzucał Boy'owi spłycanie, schlebienie i inne przyzwary. Owszem, bywały recenzje bardziej fachowe; lecz któż dziś do nich zajrzy, oprócz historyków teatru? Tymczasem felietony, czy może impresje teatralne Boy'a są nadal fascynującą lekturą i dla tych którzy opisujących spektakli nie mogli oglądać. Ilekż w nich przednich anegdot o „Wielkiej” teatralnego świata, ileż francuskiego dowcipu i cienkiej złośliwości. Mimo woli chciałoby się powiedzieć: Patrzcie, patrzcie młodzi, to był ostatni, co tak recenzje pisał...

Czyniąc przed Kongresem Kultury Polskiej wielki bilans dorobku kilku ostatnich pokoleń, tym wyraźnie widać pozycję Tadeusza Boy'a Zeleńskiego wśród czołowych twórców. Tym boleśniej odczuwamy stratę, jaką poniosła polska kultura tragicznego lata 1941.

IRLNA SOLIŃSKA

Pięćotysięczny tytuł „Czytelnika”

Ukaż się 5-tysięczny tytuł „Czytelnika”. Są to „Szkice z piekła uczciwych. Inedita” Leona Kruczkowskiego. W tomie znajdują się utwory i fragmenty prozy L. Kruczkowskiego, które za jego życia nie ukazały się w wydaniu książkowym. Część z nich publikowana była dwukrotnie już po śmierci pisarza jako zbiór pt. „Szkice z piekła uczciwych i inne opowiadania”. Reszta zebranych w nowo wydanym tomie utworów Leona Kruczkowskiego to fragmenty powieści i opowiadań oraz konspekty i plany zamierzonych prac. Są to fragmenty: powieści bez tytułu o akcentach autobiograficznych; powieści z czasów Stanisława Augusta o Koeckich Zamojewskich; powieści z życia emigracji polskiej w Belgii; niedokończona powieść „Gepruett Oflag II D”; wstęp do opowiadania o Józefie Kamińskim, sekretarzu Komitetu Powiatowego, o jego życiu, działalności i śmierci oraz fragment opowiadania bez tytułu o rodzinie Janotów. Tom obecny kończy edycję prozy Leona Kruczkowskiego. Następne zawierają będą utwory sceniczne oraz obszerny wybór prac publicystycznych pisarza. (PAP)

Dwa tylko słowa bardzo trudnego i rzadko stosowanego języka fińskiego są szerzej znane w świecie. Jedno to sisu — hart, wytrzymałość, męstwo, a drugie to sauna — fińska łaźnia.

Sauna — otoczona z jednej strony nimbem tajemnicy, z drugiej zaś światową sławą — ma swoją piękną, wielowiekową tradycję. Finlandia jest jej ojczyzną i nie przypadkiem właśnie w tym kraju narodził się ów zabieg higieniczno-zdrowotny. Ciężka, nadmiernie wyczerpująca praca fizyczna w ostrym klimacie, domagała się odprężenia, domagała się środka regenerującego siłę człowieka. Tym „lekarstwem na wszystko” już od przeszło tysiąca lat jest sauna.

Najstarszym ze znanych rodzajów saun była sauna ziemna. Na zboczu wzniesienia robiono wykop, stawiając w nim ściany i dach z belek, a całość obsypywano ziemią. Najpopularniejsza, jeszcze do niedawna, była sauna dymna. Dym nie uchodził z niej na zewnątrz lecz ogrzewał izbę i przyce, które się w niej znajdowały. Ostatnio, głównie z powodu wysokich opłat pobieranych przez towarzystwa ubezpieczeniowe od ognia, zaczęto palenisko obudowywać cegłą lub płytami żelaznymi, a dym odprowadzać na zewnątrz łaźni. Dzisiejsza, nowoczesniejsza sauna publiczna to cały wielki kombinat, w którym obok właściwej łaźni, mieszczą się natryski, baseny pływakie, a także bary i kawiarnie.

W największym skrócie — ceremonia sauny wygląda następująco. Z przebieraalni, w spodenkach kąpielowych wchodzi się do przedpokoju właściwej łaźni. Tu każdy otrzymuje wiadomość, do którego nalewa zimną wodę oraz otrzymuje pęk gałązek

Andrzej Kuczyński

Sauna - zbawienny ukrop

brzozowych. Pozbawszy się ostatniej części garderoby wchodzimy do sauny. Po jednej stronie izby obudowane palenisko (ogień ogrzewa od dołu okrągłe kamienie specjalnie wybrane i odporne na zmiany temperatury), po drugiej dwa lub trzy poziomy przyłączone ze sobą schodkami. Temperatura powietrza wynosi w saunie 70 st. C — 80 st. C, czasem 90 st. C, przekraczając zresztą w pewnych momentach 100 st. C (czasem nawet 130 st. C). Im wyżej, tym cieplej. Można ten ukrop znieść

(wyciera się jedynie włosy, twarz i stawy). Po saunie obowiązkowy odpoczynek.

Na czym polega więc tajemnica sauny? Na wywołaniu nadzwyczaj obfitego pocenia się co jest bardzo korzystne dla organizmu. Podczas półtoragodzinnego pobytu w saunie w temperaturze 75 st. C. wydziela się około 2,5 litra potu. Z obfitym poceniem wydala się produkty zmęczenia. Mięśnie stają się bardziej suche, sprawne, co ma szczególnie znaczenie dla pracujących fizycz-

nawet chorej, jeżeli wyraźnie nie sprzeciwia się temu lekarz, wręcz — zaleca się korzystanie z fińskiej łaźni.

Finowie z sauną związani są od kolebki aż do grobu (jeszcze niedawno odbywały się w saunach porody!). Na nieco ponad 4,7 miliona mieszkańców przypada ponad 0,5 miliona łaźni prywatnych. Niemal każda rodzina ma swoją saunę, nie licząc saun publicznych. Łaźnie są wszędzie: przy hotelach, przy szpitalach, przy zakładach pracy, w miasteczkach studenckich itp. Wszystkie blisko któregoś tam z sześćdziesięciu kilku tysięcy jezior, bo tyłoma natura obdarzyła ten niezwykły kraj.

Mieszkańcy Suomi (fińska nazwa państwa) są dumni ze swojej sauny. Stworzyli o niej mnóstwo legend, przypowieści, pieśni. Saunę opiewają poeci i pisarze w swych utworach. Jej poświęcone jest jedno z runów *) fińskiego eposu narodowego „Kalevali” Elias Lönnrota.

Geograficzny zasięg sauny nie obejmuje zbyt wielkich połaci naszego globu. Od norweskiej Laponii przez Finlandię, Karelię, północną Rosję i Syberię do wybrzeży Pacyfiku — oto „strefa działania” fińskiej łaźni. Ostatnio jednak sauna robi karierę, szczególnie w treningowych ośrodkach sportowych i to nie tylko w państwach europejskich. Kariera ta w pełni zasłużona.

*) Runy — starofinńskie określenia pieśni i wierszy epickich.

Korespondencja własna „Głosu” z Finlandii

bez specjalnych przeszkód przez dwa dziesięć i więcej minut, dlatego że powietrze w saunie jest bardzo suche w przeciwieństwie do łaźni rosyjskiej lub tureckiej. Pot oczywiście leje się ciurkiem, nos i uszy „szczypią” (polewamy je co pewien czas zimną wodą). Po pierwszej fazie wypocenia — masaż wtkami brzozowymi czyli samosmaganie się w celu pobudzenia krwi do krążenia. Następnie mycie całego ciała, wszystko według specjalnych, wypróbowanych zasad i znowu pocenie, aż wreszcie moment kulminacyjny — skok z tego żaru piekielnego w lodowate wody jeziora względnie basenu z zimną wodą (w zimie także do przerwali lub po prostu... w śnieg). Ten zabieg ma na celu hartowanie ciała i co dziwniejsze, jest zawsze przyjemny i skuteczny. Na koniec suszenie ciała. Bez żadnych ręczników czy prześcieradeł

nie oraz sportowców. Przyspieszone zostają „akcje serca”, przepływ krwi przez nerki. Szybkiej goją się wszelkie stany zapalne mięśni, wysięki stawowe itd. Poleca się więc saunę rekonwalescentom po urazach. Znakomicie działa też fińska łaźnia na skórę, która staje się odporna na zmiany temperatury oraz lepiej niż niepoddawana tego rodzaju zabiegom spełnia swe niezwykle ważne dla organizmu funkcje. Zażywający regularnie sauny nie znają na ogół kataru, kaszlu i przeziębienia.

Oczywiście są i przeciwwskazania w korzystaniu z tego zbawiennego ukropu. Dotyczą one wszelkich stanów gorączkowych, chorób płuc, organicznych schorzeń układu krążenia, układu krwiotwórczego, chorób nerek i innych. Pewne ograniczenia w korzystaniu z sauny obowiązują ponadto osoby starsze i dzieci. Natomiast każdej zdrowej osobie, a

Pomijam już bardzo pociągającą i staranną szatę graficzną, za co tak Wydawnictwo Poznańskie i jego współpracownikom jak też drukarni im. M. Kasprzaka należą się ciepłe słowa. Chodzi mi nade wszystko o trafność koncepcji i wykonania tego jakże potrzebnego w najszerszym zakresie tomu, jakim jest wielka praca zbiorowa, dokonana pod redakcją prof. Gerarda Labudy pt. „Ziemie zachodnie w granicach macierzy”, z podtytułem „Drogi integracji”. Książka ta została pomyślana jako wyraz uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego i Dwudziestoletnia ziem zachodnich i naprawdę staje się godnym wkładem w dni wielkich tych rocznic.

Pracy naukowej o charakterze popularnym, uwzględniającej całość złożonego procesu integracyjnego Nadodra i Północy w życie narodu polskiego bardzo nam brakowało. Szereg zjawisk domagał się zdecydowanie syntetycznego ujęcia, wykładu wspar tego o najnowszą dane statystyczne, skomentowanego zrazem w sposób rzeczowy i przejrzysty. Praca, jaką omawiam, wy magania te spełnia. Założeniem jej jest wskazanie dróg rozwoju wych procesu integracyjnego, który w głównych liniach należy uważać za zakończony. I to zarówno w aspekcie ludnościowym, jak kulturalnym, ekonomicznym i społeczno-politycznym. Słusznie podkreśla Gerard Labuda w swojej przedmowie, iż właśnie w wyniku tych procesów „Zie-

mie zachodnie stały się symbolem tej nowej jednostki narodu, osi, wokół której formował się polski patriotyzm”. Na tym tle zrozumiemy ale i szczególnie wyrazisty — zwłaszcza w stosunku do wszelkich rewizjonistycznych roszczeń — staje się fakt nie tylko niestłuchanie szybkiego, zakończonego procesu odbudowy terytorium zachodnich i północnych po zniszczeniach wojennych, ale i postępującego dynamicznego procesu obecnej rozbudowy. One to

Eugeniusz Paukszt

U poznańskiego edytora

potwierdzają, niezależnie od innych argumentów, najmocniej właśnie sens i rację naszego istnienia na tych ziemiach, które dopiero w ramach polskości zdobywają szansę niepołamowanego rozwoju.

Obok obrazu dnia współczesnego troską poznańskiego edytora jest ukazanie w sposób możliwie pełny dnia okupacyjnego we wszelkich jego aspektach, zwłaszcza zaś poprzez dokumentację. Sprawa wiedzy o hitlerystym, o sytuacji narodu polskiego po wy niszczonej wojnie i okupacji, sprawa wreszcie przestrogi. Na tym tle wybór źródeł „Dyskryminacja Polaków w Wielkopolsce w okresie okupacji hitlerowskiej”,

dokonany z dziesiątków tysięcy zachowanych w archiwach tekstów, jak i opracowanie tego materiału przez Czesława Łuczaka, staje się wydarzeniem dużej wagi i pozycją o wielkim ciężarze gatunkowym. Źródła niemieckie przemawiają tutaj do odbiorcy w języku oryginalnym, a to ich wymowa jest bardziej przekonująca od wszelkich komentarzy. Książka zawiera materiały dotyczące prawnego funkcjonowania hitlerowskiego aparatu admini-

stracyjnego w Kraju Warty, a celem ich jest ukazanie zagadnienia dyskryminacji ludności polskiej. Większość materiałów pochodzi z akt traktowanych przez hitlerystów jako poufne i tajne. W sumie powstaje dość dokładny obraz położenia społeczeństwa polskiego Wielkopolski pod okupacją. Obraz ponury, tym bardziej ponury, że przemawiający poprzez urzędowy język, urzędowe statystyki, urzędowe funkcjonowanie aparatu śmierci i eksterminacji. Warto się zapoznać z tym tomem, poprzez niemieckie teksty raz jeszcze wspomnieć na ów ponury czas.

Znamienne: czym ucisk i zbrodnia były większe, tym też bu-

dził silniejsze tendencje odporu. Nie tylko wśród społeczeństwa uciskanych, często stosunkowo również i w członkach narodu niemieckiego. Dokumentacją i naświetleniem tego kręgu zagadnień zajęli się Władysław Góra i Stanisław Okęcki w tomie „Niemcy antyfaszyści w polskim ruchu oporu”, też opublikowanym przez Wydawnictwo Poznańskie. Mimo zrozumiałych trudności ze skompletowaniem materiału źródłowego, konspiracja to bowiem miała do siebie, że unikała pisania, zebrane dane świadczą o ucale szerokim udziale Niemców w różnych formacjach polskiego ruchu oporu. Oczywiście, najszerze kontakty istniały w ruchu lewicowym, zwłaszcza pod egidą PPR. Niemniej jednak i w innych formacjach, jak BCH, Ak itd., natrafiać można na przykłady współdziałania a często i współwalki niemieckich antyfaszystów. Pracę W. Góry i St. Okęckiego czyta się z największym zainteresowaniem, po raz pierwszy bowiem wszelkie materiały z tego zakresu zostały opublikowane wspólnie i opatrzone obiektywnym naukowym, bardzo interesującym komentarzem. Dodatkowym walorem książki są wspomnienia partyzantów poświęcone udziałowi Niemców we wspólnej walce jak też materiał fotograficzny.

Z KSIĄŻKĄ NA TY



DRAMA TECHNICZNA

„Młody inżynier podróżuje od inwestycji do inwestycji, dostaje mieszkania, marzy o Moskiewcu, kupując Syrenkę. ZMS walczy o wciągnięcie go do statystyki organizacyjnej, NOT triumfuje, a handel wprowadza na gwałt telewizory i lodówki”.

Taka jest obiegowa opinia o młodych inżynierach, których problemami zajął się Andrzej Kantowicz w „Walcie Młodych”. Inaczej jednak myślą o sobie młodzi inżynierowie, a jeszcze inaczej o nich ich przełożeni. Autor odwiedził kopalnię węglą brunatnego „Konin”. Oto niektóre opinie konińskich młodych inżynierów:

„Są tu ludzie, którzy twierdzą, że tylko oni potrafią organizować pracę. I młodych nie dopuszczają do stanowisk kierowniczych(...) Jako technik zarabiam: 2800, poszedłem na studia i przez rok po dyplomie 1600. Dopiero teraz, w 3 lata po studiach, doszedłem do swojej pensji, jaką miałem po technikum. Trzy

razy prosiłem o zmianę pracy — dyrektor. Tylko papierki przepisywałem(...) Kiedy dyrekcja wydała rozporządzenie o przymusowym podjęciu studiów poblewali wstępne egzaminy. Są tacy kierownicy, którzy już 2 razy luneli wstępny(...) Złożyłem wniosek racjonalizatorski, to mi powiedziano, że powinienem się go wstydzić. Za 200 000 zł wniosku! A teraz wprowadzają, ale prosili, żebym za darmo dał”.

Inne sprawy podnoszą przełożeni młodych inżynierów. Mówi naczelnny inżynier zakładów naprawczych w Koninie:

„Obserwuję u młodych inżynierów brak chęci do pracy, rozglądanie się za wysokim zarobkiem”.

Z relacji autora wynika, że młodzi inżynierowie bronią się przed objęciem odpowiedzialnych funkcji także wtedy, gdy proponuje im się jednocześnie podwyższenie pensji. Autor określa to nieprzekupnym lekciem przed odpowiedzialnością, zaprzeczając: gdzie ambicja, gdzie chęć zrobienia kariery zawodowej? Tygodnik zapowiada kolejną pozycję poświęconą poznawaniu prawdziwego oblicza młodych inżynierów.

KOCHAJCIE NAS, PSIAKREW!

Pod tym tytułem Ryszard Wojna zamieszcza w „Polityce” obszerny szkic poświęcony zachodniomiejscowemu nacjonalizmowi, który po-

O MOTYLU, KTÓRY TUPAŁ

Bajkę o zarozumiałym motylu, przekonanym, że jedno tupnięcie jego małej nóżki wystarczy, by powodować światowe konsekwencje — rozpoczyna Hanna Zaniewska w „Prawie i Życiu” artykuł o zgłębiających sprawach. Chodzi o walkę z alkoholizmem.

Autorka pisze o Wrocławiu, gdzie problemy te przejawiają się szczególnie dra-

żąc, ale rzecz dotyczy przecież każdej miejscowości. Mamy doskonałą ustawę antyalkoholową, co podkreśla się w wielu krajach. Możliwość zahamowania alkoholizmu są większe niż w innych krajach. Praktycznie jednak ustawa niemiernie rzadko jest przestrzegana. Jak dotychczas rozstrzyga się gołwicie przeciwalkoholowe ulotki, opłaca prelegentów... z efektem tupania motyla. Sankcje przewidziane ustawą na ogół się nie wykorzystuje. Odpowiedzialne są za to władze, ale odpowiedzialnością, niestety, nie grzeszą.

NIEDOMAGANIA SYSTEMU UBEZPIECZEN

Temat ten nieczęsto jest poruszany publicznie. Zajął się nim Bohdan Przyziński w „Życiu Gospodarczym”. Istnieje wiele czynników przemawiających za szybkim rozwojem ubezpieczeń, a jednak nie było u nas dotychczas próby opracowania generalnych założeń polityki rozwoju ubezpieczeń ludności w warunkach gospodarki socjalistycznej. W tej dziedzinie istnieje konglomerat przepisów przejętych żywcem z praktyki kapitalistycznej.

„Dużym hamulcem rozwoju ubezpieczeń dobroczynnych są — jak pisze autor — niektóre przepisy ogólne, które bądź bardzo utrudniają a często uniemożliwiają ich zawarcie, bądź odstraszały kandydatów do ubezpieczenia klauzulami pozwalającymi PZU rozwiązać umowę ubez-

pieczenia z poważną stratą dla ubezpieczonego, bądź czynią ubezpieczenie wręcz bezcelowym, tj. nie pokrywającym ryzyka będącego przedmiotem ubezpieczenia”.

Wywód ten autor uzupełnia przykładami stosowanego dotychczas systemu przy ubezpieczeniach na życie, ubezpieczeniach ruchomości domowych i „auto-casco”.

W „Prawie i Życiu” o zbrodniach Wehrmachtu pisze Szymon Datner. Prezes Zarządu Głównego ZSS „Społem” Irena Strzelecka mówi w wywiadzie dla „Polityki” o działalności spółdzielni żywnościowych. W tym samym tygodniku Zygmunt Szeliga na podstawie doświadczeń tegorocznych Targów Poznańskich pisze o największym mankamentie naszego handlu zagranicznego jakim jest — zdaniem autora — jego ciągle niska jeszcze aktywność w stosunku do gospodarki. Wakacje, więc znowu o piosence: tym razem „Kultura” zamieszcza artykuł Andrzeja Białusa „Między Opolem a Sopotem”. „Żołnierz Polski” w 30 rocznicę wybuchu wojny domowej w Hiszpanii drukuje artykuł Zbigniewa Flisowskiego „Cień pancernika „Deutschland”. Wiktor Bryx opisuje w „Motorze” „Cuda z licznikami”, stwierdzając, że machlojki kierowców z licznikami kosztowały państwo w ubiegłym roku około 720 mln zł. W wywiadzie dla „Tygodnika Demokratycznego” prezes Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego Witold Kasperski mówi o spółdzielczości mieszkaniowej w małych miastach.

LEKTOR